

# BLOND YNKA

Joyce  
Carol  
Oates

powieść



MARGINESY

**BLOND  
YNKKA** Joyce  
Carol  
Oates

Przełożył Mariusz Ferek

MARGINESY

*Blonde. A Novel*

Copyright © 2020 by The Ontario Review

Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Copyright © for the translation by Mariusz Ferek

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Dla Eleanor Bergstein i Michaela Goldmana

*Blondynka* jest radykalnie przedestyłowanym „życiem” w formie utworu powieściowego i, mimo całej jej obszerności, zasadą przybliżenia jest w niej synekdocha. *Blondynka* nie zawiera zatem opisu licznych rodzin zastępczych, w których Norma Jeane przebywała, lecz tylko jednej, i to fikcyjnej; zamiast licznych kochanków, kryzysów zdrowotnych, aborcji, prób samobójstwa, a także występów ekranowych, przedstawia kilka wybranych, symbolicznych.

Marilyn Monroe rzeczywiście prowadziła coś w rodzaju dziennika, pisała wiersze czy też fragmenty wierszy. Spośród nich tylko dwa wersy znalazły się w ostatnim rozdziale (*Pomocy, pomocy!*); inne wiersze zostały wymyślone. Pewne wypowiedzi w rozdziale *Marilyn Monroe dzieła zebrane* pochodzą z wywiadów, inne zaś są fikcyjne; pod koniec wspomnianego rozdziału znalazł się cytat zaczerpnięty z konkluzji *O powstawaniu gatunków* Karola Darwina. Faktów z biografii Marilyn Monroe należy szukać nie w *Blondynce* – która nie powstała jako dokument historyczny – tylko w literaturze przedmiotu. (Autorka korzystała z takich prac jak: *Legend: The Life and Death of Marilyn Monroe* Freda Guileasa, 1985; *Bogini. Tajemnice życia i śmierci Marilyn Monroe* Anthony’ego Summersa, 1986; *Marilyn Monroe: A Life of the Actress* Carla E. Rollysona juniora, 1986. Bardziej subiektywne książki o Monroe jako postaci mitycznej to *Marilyn Monroe* Grahama McCanna, 1987, oraz *Marilyn* Normana Mailera, 1973). Co do informacji na temat amerykańskiej polityki, zwłaszcza związanej z Hollywoodem lat czterdziestych i pięćdziesiątych, najbardziej pomocna okazała się praca *Naming Names* Victora Navasky’ego. Spośród cytowanych książek traktujących o aktorstwie *The Thinking Body* Mabel Todd, *O technice aktora* Michaiła Czechowa, *Praca aktora nad sobą* i *Moje życie w sztuce* Konstantina Stanisławskiego to dzieła prawdziwe, natomiast do zmyślonych należą *Z życia aktora* oraz *Paradoks aktorstwa*. Podobnie zmyślona jest *Księga amerykańskiego patrioty*. Fragment z zakończenia *Wehikułu czasu* H.G. Wellsa

został zacytowany dwukrotnie, w rozdziałach *Koliber* i *Odeszli wszyscy do jasnego świata*. Fragmenty poezji Emily Dickinson pojawiły się w rozdziałach zatytułowanych *Kąpiel*, *Sierota* i „*Pora wyjść za mąż*”. Urywek pracy *Świat jako wola i przedstawienie* Arthura Schopenhauera znalazł się w *Śmierci Rumpelstilzki*. Wyjątek z *Kultury jako źródła cierpienia* Zygmunta Freuda sparafrazowano w *Snajperze*. Ustępy z *Mysli* Blaise'a Pascala wykorzystano w *Roslyn 1961*.

Fragmenty tej powieści ukazały się – w rozmaitych wersjach – w „*Playboy*”, „*Conjunctions*”, „*Yale Review*”, „*Ellery Queen Mystery Magazine*”, „*Michigan Quarterly Review*” i *TriQuarterly*”. Dziękuję redaktorom tych magazynów.

Daniel Halpern, Jane Shapiro i C.K. Williams zasługują na moje szczególne podziękowania.

Na scenie, w kręgu światła i pośród mroku, odnosisz wrażenie, że jesteś całkowicie sam [...]. Jest to tak zwana samotność wśród publiczności [...]. Podczas przedstawienia, przed widownią złożoną z tysięcy, zawsze możesz się schować w tym kręgu jak ślimak w muszli [...]. I zabrać go ze sobą, gdziekolwiek się udasz.

Konstantin Stanisławski, *Praca aktora nad sobą*

Sfera gry aktorskiej jest świętym miejscem [...], gdzie aktor nie może umrzeć.

Michael Goldman, *The Actor's Freedom*

Geniusz nie jest darem losu, tylko drogą, jaką osoba znajduje w rozpaczliwej sytuacji.

Jean Paul Sartre

# Prolog

3 sierpnia 1962



## Przesyłka specjalna

Przybyła Śmierć, pędząc wzdłuż bulwaru w gasnącym sepiowym świetle.

Przybyła Śmierć mknąca niczym w kreskówkach dla dzieci na ciężkim, pozbawionym ozdób rowerze posłańca.

Przybyła Śmierć nieomylna. Śmierć, której nie da się nic wyperśwadować. Śmierć, której się spieszy. Śmierć naciskająca z pasją na pedały. Śmierć wioząca paczkę oznaczoną OSTROŻNIE PRZESYŁKA SPECJALNA w solidnym koszyku tuż za siodełkiem.

Śmierć lawirująca śmiało między ludźmi i różnymi pojazdami przy skrzyżowaniu Wilshire i La Brea, gdzie – z powodu remontu ulicy – dwa pasy ruchu biegnące w kierunku zachodnim przechodziły w jeden.

Śmierć jakże chyża! Śmierć grająca na nosie tym kierowcom w średnim wieku, którzy nie mogli się powstrzymać przed użyciem klaksonu.

Śmierć roześmiana: *Pieprz się, facet!* I ty też. Przemykająca jak Królik Bugs obok błyszczących masek drogowych, nowych samochodów.

Przybyła Śmierć nieczuła na przesycone dymem, zepsute powietrze Los Angeles. Na ciepłe, radioaktywne powietrze południowej Kalifornii, gdzie przyszła na świat.

*Zgadza się, ujrzałam Śmierć. Śniłam o Śmierci poprzedniej nocy. Śniłam o niej od dawna. I wcale się nie bałam.*

Przybyła Śmierć jakże rzeczowa. Śmierć pochylona nad brązową od plamek rdzy kierownicą niezgrabnego, lecz solidnego roweru. Przybyła Śmierć ubrana w bawełnianą koszulkę z napisem Caltech, w wypranych, ale nieuprasowanych spodenkach koloru khaki, w trampkach, bez skarpetek. Śmierć z umięśnionymi łydkami i nogami porośniętymi ciemnymi włosami. Śmierć o wygiętym kręgosłupie z rzędem zaokrąglonych kręgow. Śmierć o pryszczatej twarzy niedorostka. Śmierć o dzielnym sercu, bezlitośnie oślepiana promieniami słońca, które odbijały się od szyb samochodów i chromowanych powierzchni niczym od bułatów.

Coraz więcej klaksonów odzywało się za plecami nonszalanckiej Śmierci. Śmierci ostrzyżonej na jeża. Śmierci żującej gumę.

Śmierci niezwykle oddanej żmudnej pracy – pięć dni w tygodniu plus za dopłatą soboty i niedziele. „Hollywoodzkie Usługi Kurierskie”. Śmierć osobiście doręczająca przesyłki specjalne.

Śmierć przybyła do Brentwood nieoczekiwanie! Przybyła, mknąc po wąskich i – jak to w sierpniu – opustoszałych willowych uliczkach. Przybyła do Brentwood, do próżności pracowicie wypielegnowanych rezydencji, które mija, pedałużąc: z animuszem i jednostajnie. Alta Vista, Campo, Jacumba, Brideman, Los Olivos. Aż do Fifth Helena Drive, ślepej, martwej uliczki. Drzewa palmowe, bugenwilla, czerwone róże. Zapach gnijących kwiatów. Zapach schnącej w słońcu trawy. Ogrody otoczone murami, wisteria. Okrężne podjazdy. Okna szczelnie zasłonięte storami przed słońcem.

Śmierć z podarunkiem w paczce bez adresu zwrotnego.

„MM” ZAMIESZKAŁA  
12305 FIFTH HELENA DRIVE  
BRENTWOOD, KALIFORNIA  
USA  
PLANETA ZIEMIA

Na Fifth Helena Śmierć zaczęła pedałowac wolniej, sprawdzając numery domów. Śmierci nie zdziwiła wcale nietypowo zaadresowana paczka. Bardzo dziwny prezent wewnątrz błyszczącej, cukierkowej bibułki, która wyglądała na używaną. Z białą satynową kokardą przyklejoną przezroczystą taśmą.

Paczka o wymiarach osiem na dziesięć cali. Wążąca zaledwie kilka uncji. Pusta? Wypełniona papierem?

Nie. Gdyby nią potrząsnąć, okazałoby się, że w środku coś jednak jest. Jakiś miękki przedmiot, może z materiału.

Śmierć przybyła wczesnym popołudniem 3 sierpnia 1962 roku. Śmierć zadzwoniła do drzwi przy 12305 Fifth Helena Drive. Śmierć otarła spocone czoło baseballową czapczką. Śmierć żuła gumę szybko i niecierpliwie. Nie słyszała odgłosu kroków. Nie mogła zostawić tej cholernej paczuszki na stopniu schodów, musiała dostać pokwitowanie. Słyszała jedynie buczenie wmontowanej w okno klimatyzacji. A może radia? To był mały domek w hiszpańskim stylu, parterowa „hacjenda”. O ścianach, które wyglądały, jakby je wzniesiono z cegły suszonej na słońcu, o dachu z jaskrawopomarańczowej dachówki, z zasłoniętymi oknami. Skurczony, mały niczym domek dla lalek, nic szczególnego jak na tę dzielnicę. Śmierć zadzwoniła po raz drugi, naciskając mocno przycisk dzwonnka. Tym razem drzwi się otworzyły.

*Przyjęłam podarunek z rąk Śmierci. Pomyślałam, że wiem, co to jest. Kto mi to przesłał. Na widok adresu na paczuszcze roześmiałam się i bez wahania podpisałam potwierdzenie odbioru.*

# Dziecko

1932-1938

*Ten film oglądałam przez całe życie, choć nigdy do końca.*

Mogłaby niemal rzec: *Ten film jest moim życiem!*

Miała dwa, może trzy lata, gdy Matka zabrała ją tam po raz pierwszy. To jej najwcześniejsze wspomnienie, i jakże ekscytujące! Grauman's Egyptian Theatre przy Hollywood Boulevard. Wiele lat wcześniej, nim mogła pojąć chociażby najbardziej podstawowe zasady, jakimi rządzi się opowieść filmowa. Chłonęła jak zaczarowana ruch, bezustanne falowanie płynnego ruchu na olbrzymim ekranie nad głową. Jeszcze nie mogła pomyśleć: *To jest ten sam wszechświat, w którym odbywa się projekcja niezliczonych i niemożliwych do nazwania form życia.* Ileż to razy w latach straconego dzieciństwa i w latach dojrzewania będzie wracała do tego filmu z tęsknotą, rozpoznając go od razu, mimo różnaitości tytułów i wielości aktorów. Zawsze bowiem pojawiała się w nim Jasnowłosa Księżniczka. I zawsze zjawiał się Ciemnowłosa Książę. Splot okoliczności popychał ich ku sobie i rozłączał, znowu zbliżał i ponownie rozłączał, póki – gdy film zbliżał się do końca, a muzyka osiągała punkt kulminacyjny – nie padli sobie namiętnie w ramiona.

Co jednak nie zawsze było równoznaczne ze szczęśliwym zakończeniem. Zakończenie bywało niewiadomą. Zdarzało się, że jedno kłękało przy łożu drugiego i pocałunek kochanków zwiastował śmierć. Nawet jeśli on (lub ona) przeżywał śmierć ukochanej (ukochanego), człowiek wiedział już, że życie przestało mieć jakikolwiek sens.

*Bo tylko film nadaje życiu znaczenie.*

*I nie istnieje opowieść filmowa bez zaciemnionej sali kinowej.*

Ależ to denerwujące, nigdy nie obejrzeć zakończenia!

Gdyż zawsze coś przeszkadzało, układało się nie tak. A to powstawało jakieś zamieszanie i zapalano światła, a to odzywał się alarm przeciwpożarowy (bez żadnego ognia? czy może był ogień? pewnego razu wydawało się jej, że czuje zapach dymu) i wszystkich proszono do wyjścia; kiedy indziej sama była już spóźniona na spotkanie

i musiała wyjść, albo zasypiała w fotelu i traciła zakończenie, budziła się oślepią jaskrawymi światłami, wokół zaś nieznanymi podnosili się i kierowali do drzwi.

*Już koniec? Jak to możliwe?*

Nawet jako dojrzała kobieta wciąż poszukiwała tego filmu. Wchodziła ukradkiem do kina w jakiejś podrzędnej dzielnicy lub w nieznanym jej miasteczku. Cierpiała na bezsenność, zdarzało się więc, że kupowała bilet na seans nocny. Zdarzało się też, iż kupowała bilet na pierwszy seans danego dnia, czyli przed południem. Nie uciekała od własnego życia (choć to życie przysparzało jej coraz więcej kłopotów, tak jak każde dorosłe życie), ale znajdowała chwilę wytchnienia, umieszczając się niejako w nawiasie owego życia, zatrzymując czas w taki sposób, w jaki dziecko może powstrzymać ruch wskazówek zegarka: siłą. Wchodziła do mrocznej sali kinowej (często pachnącej zatęchłym popcornem, płynem do włosów, środkami do dezynfekcji), podniecona jak młoda dziewczyna pragnąca ujrzeć na ekranie jeszcze raz *Och, kolejny raz! jeszcze jeden raz!* śliczną kobietę o blond włosach, która wygląda, jakby się w ogóle nie starzała, która ma ciało jak każda inna kobieta, ale posiada także niepowtarzalny wdzięk, jakiego żadna zwyczajna kobieta nie ma, która promieniuje blaskiem pochodzącym nie tylko z jej lśniących oczu, ale z każdego kawałeczka skóry. *Duszą moją jest skóra. Inna dusza nie istnieje. Dostrzegacie we mnie obietnicę ludzkiej radości.* Ona, która wślizguje się do kina, wybiera fotel w rzędzie blisko ekranu i bez reszty poświęca uwagę filmowi, który sprawia wrażenie jednocześnie znanego i nieznanego, jak niezbyt dobrze zapamiętany, lecz uporczywie powracający sen. Wraz z upływem lat zmieniają się kostiumy aktorów, fryzury, nawet twarze i głosy, ale jest w stanie przypomnieć sobie – niezbyt wyraźnie, tylko we fragmentach – utracone emocje, samotność dziecięcego wieku, którą tylko częściowo łagodził olbrzymi ekran. *Inny świat do zamieszkania. Gdzie?* Nadszedł taki dzień, nadeszła taka godzina, kiedy uświadomiła sobie, że Jasnowłosa Księżniczka – która jest taka piękna, ponieważ jest taka piękna i ponieważ jest Jasnowłosa Księżniczką – zmuszona jest szukać w oczach innych potwierdzenia swego istnienia. *Nie możemy być tacy, jakimi nas widzą, jeżeli nikt nas nie widzi. Prawda?*

Niepokój dorosłości i rosnące przerażenie.

Ta opowieść filmowa jest skomplikowana i pogmatwana, choć zarazem znajoma albo prawie znajoma. Może została źle zmontowana. Może ma drażnić. Może retrospekcje mieszają się z terażniejszością. Albo z przyszłością! Zbliżenia Jasnowłosej Księżniczki wydają się zbyt intymne. Pragniemy obserwować innych z zewnątrz, nie chcemy, aby nas wciągano do środka. *Gdybym tak mogła powiedzieć: Proszę bardzo, oto ja! Ta kobieta, stworzenie na ekranie, oto kim jestem.* Ale ona nie zna zakończenia. Nigdy nie widziała ostatniej sceny, nigdy nie obejrzała, jak na

ekranie przesuwają się napisy końcowe. W tym właśnie, w momencie wykraczającym poza ostatni pocałunek, tkwi klucz do tajemnicy filmu – wie o tym. Tak samo klucz do tajemnicy życia stanowią organy ludzkiego ciała, usunięte podczas sekcji zwłok.

*Lecz nadejdzie taki czas*, może to się zdarzy tego właśnie wieczoru, gdy nieco zadyszana sadowi się w obitym pluszem, starym, przybrudzonym fotelu w drugim rzędzie starego kina w zrujnowanej dzielnicy miasta, pod stopami czuje wybrzuszoną niczym kula ziemską lepką podłogę, do której przyklejają się podeszwy jej drogich butów; publiczność jest nieliczna, rozproszona, złożona przeważnie z samotnych osób; z ulgą sobie uświadamia, że w przebraniu (ciemne okulary, porządna peruka, płaszcz przeciwdeszczowy) nikt jej tam nie rozpozna i że nikt z jej znajomych nie domyśla się, gdzie jest ani gdzie mogłaby być. *Tym razem obejrzą to do samego końca. Właśnie tym razem!* Dlaczego? Nie miała pojęcia. Bo akurat naprawdę ktoś gdzieś na nią czeka, już się spóźniła o parę godzin, niewykluczone, że jakiś samochód miał ją zawieźć na lotnisko, chyba że spóźniła się już o parę dni albo nawet tygodni; bo jako osoba dorosła buntuje się przeciwko czasowi. *Czymże jest czas, jak nie tym, czego oczekują od nas inni? Grą, w którą grać nie chcemy.* O, właśnie zauważyła, że także Jasnowłosą Księżniczkę czas zbił z tropu. Zbiła ją z tropu fabuła filmu. Człowiek otrzymuje sygnały od innych. Co się dzieje, jeśli nikt z otoczenia ich nie wysyła? Jasnowłosa Księżniczka w tym filmie nie jest już świeża jak wiosenny kwiat, ale oczywiście wciąż piękna, bladolica i promienna, kiedy wychodzi z taksówki wprost w otwartą przestrzeń ulicy; dla niepoznaki włożyła duże przeciwsłoneczne okulary, perukę z gładkimi ciemnymi włosami i płaszcz, który mocno ścisnęła paskiem; kamera śledzi ją z bliska: ukradkowe wejście do kina, zakup biletu, zajęcie miejsca w drugim rzędzie. Ponieważ jest Jasnowłosą Księżniczką, inni widzowie oczywiście zerkają na nią, lecz jej nie rozpoznają; może jest zwyczajną kobietą, wprawdzie piękną, ale nieznaną. Po rozpoczęciu seansu zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i bez reszty pogrąża się w filmie. Musi odchylić głowę do tyłu, aby dobrze widzieć ekran. Patrzy do góry z miną wystraszonego dziecka. Światło z ekranu kołysze się na jej twarzy jak refleksy słońca na wodzie. Zapatrzona, zupełnie nie wie, że Ciemnowłosa Księżkę szedł za nią do kina; kamera zajmuje się nim przez kilka długich, pełnych napięcia minut; mężczyzna stoi za postrzępioną aksamitną zasłoną przy bocznym rzędzie krzeseł. Jego przystojna twarz ginie w cieniu. Jej wyraz podpowiada, że w końcu musi się coś wydarzyć. Mężczyzna ma na sobie ciemny garnitur, ale nie włożył krawata, na głowie zaś lekko przekrzywiony filcowy kapelusz. Na sygnał muzyczny szybko podchodzi i pochyla się nad nią, nad samotną kobietą w drugim rzędzie. Szepcze coś do niej, ona odwraca się przejęta. Wydaje się rzeczywiście zdziwiona, choć

na pewno zna scenariusz: w każdym razie do tej chwili i może nieco w przyszłość.

*Ukochany! To ty.*

*Nigdy nie było nikogo prócz ciebie.*

W migoczącym świetle bijącym od olbrzymiego ekranu twarze kochanków są pełne wyrazu – kochanków, którzy są posłańcami z minionych bezpowrotnie czasów wspaniałości. Jakby, choć pomniejszeni i śmiertelni, musieli grać tę scenę do końca. *Będą grać tę scenę do końca.* On śmiało chwyta ją za szyję, unieruchamia. Panuje nad nią, bierze ją w posiadanie. Jakże silne są jego palce, jakże zimne; dziwne i szkliste lśnienie jego oczu, nigdy nie widziała ich z bliska.

Ale ona kolejny raz wzdycha i podnosi swą doskonałą twarz w oczekiwaniu na pocałunek Ciemnowłosego Księcia.



Cechy urodzonego aktora pojawiają się w dzieciństwie, bo właśnie wówczas świat postrzegany jest zrazu jako Tajemnica. Źródłem gry aktorskiej jest improwizacja w obliczu Tajemnicy.

T. Navarro, *Paradoks aktorstwa*

– Wi d z i s z? Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

1

Był taki dzień, dzień szóstych urodzin Normy Jeane, pierwszy dzień czerwca 1932 roku, magiczny poranek, oślepiający, zapierający dech w piersiach, porażający bielą w Venice Beach w Kalifornii. Od Pacyfiku wiał wiatr, świeży, chłodny i orzeźwiający, niósł powietrze tylko odrobinę zepsute przez zwyczajną woń wodnej zgnilizny i śmieci. Mogło się zdawać, że ten sam wiatr przywiał Matkę, kobietę o wychudzonej twarzy, zmysłowych ustach i cienkich brwiach. Przyszła po Normę Jeane, która mieszkała z dziadkami przy Venice Boulevard w dziobatej ruinie o beżowych stiukach. „Normo Jeane, chodź!” I Norma Jeane pobiegła, pobiegła do Matki! Pulchną rączką chwyciła za szczupłą dłoń w czarnej ażurowej rękawiczce – jakież to było dziwne i zarazem cudowne uczucie. Dłonie babki były spracowanymi dłońmi starszej kobiety, tak jak zapach babki był zapachem starszej kobiety, za to zapach Matki wydawał się słodki, miły i lekko oszałamiający, niczym smak gorącej lemoniady. „Normo Jeane, moja kochana... C h o d ź”. Matka miała na imię Gladys, Gladys była p r a w d z i w ą m a t k ą tego dziecka. Kiedy już zdecydowała się nią być. Kiedy miała dość siły. Kiedy nie stały na przeszkodzie obowiązki w Wytwórni. Życie Gladys toczyło się w „trzech wymiarach przechodzących w cztery” i nie było „płaskie niczym plansza do ludo”, jak w wypadku większości ludzi. Na oczach roztrzęsionej babci Delli Matka triumfalnie wyprowadziła Normę Jeane z mieszkania na trzecim piętrze, gdzie cuchnęło cebulą, szarym mydłem, maścią na odciski i tytoniem fajkowym dziadka, ignorując gniew starszej kobiety, jakby był to komicznie rozgorączkowany głos dochodzący z radia: „Gladys, czym samochodem teraz jeździsz? Spójrz na mnie, dziewczyno. Brałaś coś? Piłaś? Kiedy mi oddasz wnuczkę? A żeby cię! Poczekaj, muszę nałożyć buty, ja też schodzę! Gladys!”. A Matka nuciła tylko spokojnym, doprowadzającym do pasji sopranem: *Qué sera, sera*. Śmiejąc się jak dzieci,

które właśnie coś zbroiły i uciekają, Matka z Córką pomknęły w dół po schodach niczym po zboczcu góry, zadyszane, złączone dłońmi, byle na dwór! pod otwarte niebo! na Venice Boulevard, do zaparkowanego przy krawężniku samochodu Gladys, który za każdym razem mógł być inny; tego zaś jasnego, lśniącego ranka 1 czerwca 1932 roku Norma Jeane zatrzymała się z uśmiechem przed garbatym nashem w odcieniu wody, jaka pozostaje po zmywaniu naczyń, gdy piana już się całkiem rozejdzie; okno pasażera z nitkami zabezpieczonych taśmą klejącą pęknięć przypominało pajęczynę. Mimo wszystko był to cudowny samochód, a Gladys wyglądała pięknie i młodo. Gladys, która w ogóle rzadko dotykała Normy Jeane, teraz podnosiła ją obiema dłońmi w rękawiczkach i pomagała usiąść na miejscu pasażera: „Hej-ho, i już, kochane maleństwo!”, jak gdyby podnosiła ją do diabelskiego młyna na molo w Santa Monica, by córka poszybowała, zdumiona i oczarowana, w niebo. I z głośnym trzaskiem zamknęła drzwi. I sprawdziła, czy rzeczywiście są zamknięte. (Istniała stara obawa, strach Matki o Córkę, że podczas tego rodzaju wycieczek drzwi samochodu mogą się otworzyć, niczym zapadnia pułapki w którymś z niemych filmów, i Córka zgini!) I wspięła się na miejsce za kierownicą jak Lindbergh do kokpitu Spirit of St. Louis. Zwiększyła obroty silnika, zmieniła biegi i włączyła się do ruchu, nie reagując na to, że biedna babcia Della, zażywna kobieta o nakrapianej cętkami twarzy, ubrana w wyblakły bawełniany fartuch, zwinięte skarpety i buty staruszki, wypadła przed budynek jak Charlie Chaplin, komicznie rozgorączkowany Mały Tramp.

– Poczekaj! Och, poczekaj! Pomyłona kobieto! Ćpunko! Zabraniam! Wezwę p o l i c j ę!

Nie było czasu do stracenia, oj, nie.

Ani nawet żeby porządnie odetchnąć.

– Nie przejmuj się babcią, kochanie. Ona jest z niemego filmu, a my z dźwiękowego.

Bo Gladys, jedyna prawdziwa matka tej dziewczynki, owego szczególnego dnia nie da się nabrać na Matczyną Miłość. Tak oto, czując się „nareszcie pewnie”, z kilkoma dolarami w kieszeni, Gladys przyjechała po Normę Jeane w dniu jej urodzin (szóstych? już? och, Chryste, to przygnębiające), tak jak obiecała.

– Czy wiatr wieje, czy słońko świeci, nic nas nie rozdzieli, aż po śmierci dzień. Przysięgam. – Teraz nawet trzęsienie ziemi nie zmieniłoby nastroju Gladys. – Należysz do mnie. Jesteś do mnie podobna. Nikt mi cię nie ukradnie, Normo Jeane, jak moich innych córek.

Tych triumfalnych, okropnych słów Norma Jeane nie słyszała, nie słyszała, nie, nie, poniósł je hen, daleko, porywisty wiatr.

Ów dzień, dzień urodzin, będzie pierwszym, jaki Norma Jeane zapamięta wyraźnie. Ten cudowny dzień spędzony z Gladys, która bywała Matką, albo z Matką, która bywała Gladys. Kobietą niczym ruchliwy

i smukły ptak o bystrym, czujnym spojrzeniu, uśmiechu, jak to sama określała, drapieży i ostrych łokciach, którymi dźgała cię w żebra, jeśli zbyttno się do niej zbliżyłaś. Wypuszczała przez nos świecący dym, który przypominał zakrzywione słońcowe kły, i wtedy w ogóle nie miałaś odwagi zwrócić się do niej, a już na pewno nie słowami „mamusiu” czy „mamciu” – używając tych „do porzygania słodziutkich zwrotów”, o których Gladys już dawno temu zapomniała – ani nawet patrzeć na nią zbyt natarczywie. „Przestań na mnie zerkać! Żadnych zbliżeń, póki nie będę gotowa”. W takich chwilach ostry, łamiący się śmiech Gladys brzmiał dokładnie tak jak odgłos wbijania szpikulca w bryłę lodu. Ten dzień objawienia Norma Jeane będzie wspominała przez resztę swojego życia, które potrwa trzydzieści sześć lat, sześćdziesiąt trzy dni i zakończy się przed śmiercią Gladys, jedno życie zmieści się w drugim jak mała laleczka, którą można schować wewnątrz większej lali. *Czy pragnęłam innego szczęścia? Nie. Nie chciałam niczego, tylko być z nią. Może trochę się poprzytulać, zasnąć z nią w jej łóżku, gdyby mi pozwoliła. Tak bardzo ją kochałam.* W istocie istniały dowody na to, że Norma Jeane spędzała z matką jeszcze inne dni swych urodzin, w każdym razie na pewno pierwsze urodziny, choć nie mogła niczego sobie przypomnieć, chyba że brała do ręki zdjęcia – NORMIE JEANE WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W PIERWSZĄ ROCZNICĘ URODZIN! – odręczny napis na papierowym transparencie udrapowanym – niczym szarfa jakiejś piękności w stroju kąpielowym – na załzawionym berbeciu o pucołowatej, krągłej jak księżyc w pełni twarzy z dołkami w policzkach, z kręconymi ciemnoblonde włosami i wplecionymi w nie satynowymi wstążkami; jak stare marzenia owe zdjęcia były rozmazane i porysowane, widocznie ich autorem był jakiś „przyjaciel”; widać na nich bardzo młodą, ładną Gladys, niezwykle ożywioną, w poskręcanych loczkach, o wydętych ustach jak u Clary Bow, trzymającą swe dwunastomiesięczne dziecko – Normę Jeane – sztywno na kolanach, tak jak można by trzymać przedmiot kruchy i cenny, z obawą, jeśli nie z widoczną przyjemnością, z surową dumą, jeśli nie z miłością; na odwrocie wszystkich tych zdjęć widniała data zapisana niezgrabnym pismem, 1 czerwca 1927. Ale sześciolatnia Norma Jeane zapamiętała z tego tyle samo, co z chwili narodzin – chciała zapytać Gladys albo babcię, jak przychodzi się na świat, czy trzeba zrobić coś samemu? – na oddziale położniczym Los Angeles County General Hospital po dwudziestu dwóch godzinach „nieustannego piekła” (jak mawiała Gladys o tej ciężkiej próbie) albo z czasów, gdy przez osiem miesięcy i jedenaście dni tkwiła w „specjalnym worku” pod jej sercem. Nie mogła pamiętać! Mimo wszystko, ilekroć z przejściem patrzyła na te zdjęcia, które Gladys zgadzała się rozłożyć na łóżku w jakiejś wynajmowanej „rezydencji”, nigdy nie wątpiła, że niemowlę na zdjęciach to ona, *ponieważ wszystko w swoim życiu będzie poznawała poprzez świadectwa*

*i nazwy używane przez inne osoby. Tak jak Jezus w ewangeliach jest postacią, o której piszą, rozprawiają i opowiadają inni. Poznam swą egzystencję oraz jej wartość innymi oczami, którym, jak wierzyłam, mogę zaufać, podczas gdy nie mogę zaufać moim własnym.*

Gladys patrzyła na córkę, której nie widziała od – cóż, od miesiący. Powiedziała podniesionym głosem:

– Nie denerwuj się. Nie zerkaj na mnie tak, jakbym w każdej chwili mogła rozbić ten samochód. Oczy sobie popsujesz, dorobisz się okularów i tak się to wszystko skończy. I postaraj się nie wiercić jak mały wąż, któremu chce się siku. Nigdy nie uczyłam cię takich obyczajów. Wcale nie zamierzam rozbić tego samochodu, jeśli się tego obawiasz, tak jak twoja żalсна stara babka. P r z y r z e k a m!

Gladys spogląda z ukosa na dziecko, niby to nerwowo, lecz zarazem kusząco, co u niej nigdy nie powinno dziwić: przyciągała cię do siebie, potem odpychała; teraz zaś dodała niskim, ochrypłym głosem:

– Z okazji urodzin Mama ma dla ciebie niespodziankę. Która już czeka specjalnie na ciebie.

– N...niespodziankę?

Gladys zasysa policzki i uśmiecha się podczas jazdy.

– D...dokąd jedziemy, Mamo?

Szczęście przeszywa Normę Jeane niczym ostre kawałeczki szkła w ustach.

Choć jest ciepło i wilgotno, Gladys nosi modne ażurowe rękawiczki w czarnym kolorze, aby chronić delikatną skórę. Bezwiednie zaciska obie dłonie na kierownicy.

– Pytasz, dokąd jedziemy? Jakby cię tak posłuchać, można by odnieść wrażenie, że nigdy wcześniej nie byłeś w hollywoodzkiej rezydencji swojej matki.

Norma Jeane jest zmieszana, uśmiecha się. Stara się myśleć. Czy rzeczywiście? Zdaje się, że zapomniała o czymś bardzo istotnym, dopuściła się czegoś w rodzaju zdrady, rozczarowała. Mimo wszystko wydaje się, że Gladys często się przeprowadzała. Czasami informowała o tym Dellę, czasem nie. Jej życie było skomplikowane i owiane tajemnicą. Miała jakieś problemy z właścicielami lokali do wynajęcia i sąsiadami; popadała w kłopoty z „pieniędzmi” i ze „środkami utrzymania”. Poprzedniej zimy krótkie i gwałtowne trzęsienie ziemi uczyniło z niej na dwa tygodnie osobę bezdomną, zmuszoną do mieszkania u przyjaciół, bez jakiegokolwiek kontaktu z Dellą. Jednakże Gladys zawsze mieszkała w Hollywood. Albo w West Hollywood. Wymagała tego od niej praca w Wytwórni. Ponieważ należała do „pracownic kontraktowych” (Wytwórnia była największym przedsiębiorstwem filmowym w Hollywood, a tym samym na świecie; szczyciła się, że związała kontraktami „więcej gwiazd, niż ich błyszczą w konstelacjach”), jej życie właściwie do niej nie należało: „Tak samo jak katolickie zakonnice

są poślubione Chrystusowi”. Gladys musiała oddawać na wychowanie Normę Jeane, odkąd ukończyła ona zaledwie dwanaście dni, zazwyczaj babce, za pięć dolarów tygodniowo plus wydatki, takie to już było to cholernie ciężkie życie, takie wyczerpujące, smutne, ale jaki miała wybór, skoro całymi godzinami pracowała w Wytwórni, czasem dwie zmiany z rzędu, na „jedno skinienie” szefa – jak mogła jednocześnie podjąć się opieki nad małym dzieckiem?

„Niech nikt się nie waży mnie osądzać. Póki nie znajdzie się na moim miejscu. Nieważne, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta. Ale zwłaszcza kobieta niech się nie waży. Tak, zwłaszcza kobieta!”

Gladys wyrzucała te słowa z tajemniczym gniewem. Może chodziło jej o matkę. O Dellę, z którą prowadziła wojnę.

Kiedy się kłóciły, Della twierdziła, że Gladys jest „walnięta” – czy raczej „nawalona”? – a Gladys natychmiast protestowała, mówiąc, że to jawne kłamstwo, oszczerstwo; w żadnym razie, nigdy nawet nie czuła zapachu marihuany, a cóż dopiero mówić o paleniu. „A tym bardziej opium. Nigdy!” Della słyszała zbyt wiele niesamowitych i nieprawdopodobnych opowieści na temat ludzi filmu. To prawda, Gladys czasami popadała w stan nadmiernej ekscytacji. *Ogień płonie we mnie! Cudowny ogień.* To prawda, innym razem robiła się smętna, ogarniała ją „czarna rozpacz”, wpadała w „dołek”. *Jak gdyby moja dusza stawała się roztopionym ołowiem, wyciekała i twardniała.* Mimo wszystko Gladys była atrakcyjną młodą kobietą, miała wielu przyjaciół. Mężczyzn. Którzy komplikowali jej życie uczuciowe. „Gdyby ci faceci zostawili mnie w spokoju, z Gladys wszystko byłoby w porządku”. Ale oni rzecz jasna nie zostawili jej w spokoju, więc Gladys ratowała się regularnym przyjmowaniem leków. Medykamentów przepisanych przez lekarza albo może też środków podawanych jej przez tychże facetów. Żyła na aspirynie Bayera i w znacznym stopniu uodporniła się na jej działanie: rozpuszczała tabletki w czarnej kawie niczym małe kostki cukru, mówiąc: „Nie czuję ich smaku!”

Tego ranka Norma Jeane zorientowała się natychmiast, że Gladys ma swój „wzlot”: jest rozkojarzona, ożywiona, nieprzewidywalna, chwiejna jak płomień świecy w przeciągu. Jej woskowo blada skóra wydzielala fale ciepła jak ulice w letnim słońcu, a jej oczy! – ruchliwe, błędzące, o rozszerzonych źrenicach. *Oczy, które kochałam. Nie mogłam na nie patrzeć.* Gladys prowadziła samochód beztrudno i szybko. Z Gladys jeździło się tak jak samochodzikami w wesołym miasteczku: trzeba się było mocno trzymać. Jechały w głąb lądu, oddalając się od Venice Beach i oceanu. Na północ, w kierunku La Cienega i Sunset Boulevard, mijając znajome ulice, które Norma Jeane pamiętała z wcześniejszych przejazdów w towarzystwie matki. Ależ grzechotał stary nash, mknąc naprzód, reagując na niecierpliwie przyciskanie pedału gazu. Podskoczyły na torach tramwajowych, zatrzymały się w ostatniej chwili przed

czerwonymi światłami, aż Norma Jeane zaczęła dzwonić zębami, choć jednocześnie chichotała nerwowo. Czasami samochód Gladys wpadał w poślizg na środku skrzyżowania i momentalnie stawał się elementem sceny jakby żywcem wyjętej z filmu: koncert klaksonów, krzyki, wymachiwanie pięściami; chyba że kierowcami byli samotni mężczyźni, wówczas wszelkie gesty wydawały się łagodniejsze. Kilka razy Gladys zignorowała gwizdek policjanta i uciekła. „Wiesz, nie zrobiłam niczego złego! Nie chcę, aby wygrażały mi jakieś łobuzy”.

Della lubiła narzekać ni to żartobliwie, ni to gniewnie, że Gladys „straciła” swoje prawo jazdy, co oznaczało... No właśnie, co? Straciła je tak, jak ludzie gubią różne przedmioty? Zawieruszyła je? Czy może ten dokument zabrał jej policjant, aby ją ukarać, a Normy Jeane przy tym nie było?

Jedno Norma Jeane wiedziała na pewno: nie odważy się zapytać o to Gladys.

Z Sunset Boulevard wjechały w boczną ulicę, potem skręciły w następną i wreszcie w La Mesa, nieefektywną uliczkę pełną małych przedsiębiorstw, bistr, koktajlbarów i bloków mieszkalnych; Gladys wyjaśniła, że to jest jej „nowe sąsiedztwo, które właśnie poznaję, a musisz wiedzieć, że przyjęto mnie tu bardzo serdecznie”. Dodała, że do Wytwórni „można stąd dojechać w sześć minut”. Istniały „osobiste powody”, które przemawiały za zamieszkaniem w tym miejscu, ale są one zbyt skomplikowane, by się nad nimi rozwodzić. Ale Norma Jeane sama zobaczy. „To część niespodzianki”. Gladys zaparkowała samochód przed frontem mizernego hiszpańskiego domu z białymi stiukami, zniszczonymi zielonymi markizami i zniekształconymi schodami przeciwpożarowymi. HACJENDA. DO WYNAJĘCIA POKOJE I MAŁE MIESZKANIA NA TYGODNIE I MIESIĄCE. INFORMACJA WEWNĄTRZ. Dom oznaczono numerem 387. Norma Jeane patrzyła, zapisując w pamięci to, co widziała; była jak aparat fotograficzny rejestrujący obrazy na kliszy; gdyby któregoś dnia się zgubiła, będzie musiała znaleźć drogę do tego miejsca, którego nigdy wcześniej nie widziała, ale z Gladys takie chwile były bardzo ważne, tajemnicze i pełne emocji, aż człowiekowi serce tłukło się w piersiach jak po zażyciu jakiegoś lekarstwa. *Jak po przyjęciu amfetaminy – ten sam ciężar gatunkowy. Przez całe życie tam wracałam. Niczym lunatyk wychodziłam z życia i wracałam na La Mesa, do Hacjendy i do miejsca na Highland Avenue, gdzie znowu byłam dzieckiem, znowu pod jej opieką, pod jej urokiem, a ten koszmar jeszcze się nie zaczął.*

Gladys dostrzegła wyraz twarzy Normy Jeane, którego sama dziewczynka nie mogła zobaczyć, i roześmiała się.

– Mała jubilatko! Bądź co bądź, sześć lat ma się tylko raz w życiu. Do siedmiu możesz nawet nie dożyć. Chodźmy.

Dłoń Normy Jeane była mokra od potu, więc Gladys nie chwyciła jej. Szturchnęła dziewczynkę – pięścią w rękawiczce, lekko, rzecz

jasna żartobliwie, kierując ją do góry po nieco wyszczerbionych stopniach zewnętrznych schodów Hacjendy, do nagrzanego wnętrza z zapiaszczoną klatką schodową i linoleum na wewnętrznych schodach. „Ktoś na nas czeka i pewnie już się zaczyna niecierpliwić. No, dalej”. Spieszyły się. Biegły. Galopowały coraz wyżej. Gladys, w swych wspaniałych butach na wysokich obcasach, nagle wpadła w panikę; czy może udawała, że w nią wpadła? czy była to jedna z jej scen? Na górze matka i córka nie mogły złapać tchu. Gladys otworzyła drzwi do swojej obecnej „rezydencji”, niewiele różniącej się od poprzedniej, którą Norma Jeane ledwie pamiętała. Trzy ciasne izby z poplamionymi tapetami, poplamiony sufit, wąskie okna, płaszczyzny luźnego linoleum na nagich deskach, kilka meksykańskich chodników, nieszczelna, trochę cuchnąca lodówka, kuchenka dwupalnikowa, naczynia w zlewie i uciekające w popłochu czarne karaluchy, które błyszczały niczym nasiona arbuza. Na ścianie kuchni wisiały przypięte pinezkami plakaty do filmów, w których produkcję Gladys była zaangażowana i z których była dumna: *Kiki* z Mary Pickford, *Na Zachodzie bez zmian* z Lew Ayresem, *Światła wielkiego miasta* z Charliem Chaplinem, w którego pełne uczucia oczy Norma Jeane mogła patrzeć i patrzeć, przekonana, że Chaplin ją widzi. Niejasne było, co Gladys miała wspólnego z tymi sławnymi filmami, ale Normę Jeane oczarowały twarze aktorów. *Oto, co znaczy dom. To miejsce pamiętam*. Znajomy był również ciepły zaduch mieszkania – Gladys nie miała w zwyczaju uchylać okien na czas swojej nieobecności – ostra woń potraw, zmielonej kawy, papierosowego popiołu, spalenizny, perfum i tego tajemniczego, ostrego, chemicznego zapachu, którego Gladys nigdy nie mogła całkowicie zmyć, choć nieustannie szorowała dłonie mydłem leczniczym, aż były poobcierane do krwi. Mimo wszystko owe zapachy uspokajały Normę Jeane, *bo przywodziły na myśl dom. Miejsce, gdzie była Matka*.

Nowe mieszkanie! Było jakieś dziwne. Panowała tu większa ciasnota i nieporządek niż w poprzednich mieszkaniach. Albo może Norma Jeane była teraz starsza i więcej dostrzegała? Kiedy znalazła się wreszcie w środku, nastąpił ten okropny moment zawieszenia między pierwszym poruszeniem ziemi i następnym, naprawdę silnym drżeniem, którego nie da się zignorować ani zakwestionować. Czekala, nie mając odwagi odetchnąć. Stało tu wiele otwartych, ale nierozpakowanych pudeł, na których odcisnięto napis WŁASNOŚĆ WYTWÓRNI. Stosy ubrań leżały na kuchennym blacie i wisiały na drucianych wieszakach na sznurze rozwieszonym w kuchni, tak że na pierwszy rzut oka można by odnieść wrażenie, że tłoczą się w niej ludzie, kobiety w „kostiumach” – Norma Jeane wiedziała, co to są kostiumy, że to coś innego niż „ubrania”, choć nie potrafiła wyjaśnić, na czym polega różnica. Wśród tych kostiumów znajdowały się efektowne i olśniewające krótkie sukienki z wąskimi ramiączkami. Inne, te z długimi

mankietami, były poważniejsze. Majtki, staniki i pończochy suszyły się na sznurze. Gladys przyglądała się Normie Jeane, jak ta z otwartą buzią wpatruje się w ubrania kołyszające się nad jej głową. Na widok jej zmieszania wybuchnęła śmiechem.

– Coś nie tak? Nie pochwalasz tego? Della tego nie pochwała? Kazała ci mnie s z p i e g o w a ć? Teraz idziemy tu. Tędy. No, dalej.

Dźgnęła Normę Jeane łokciem i skierowała ją do następnego pokoju, do sypialni.

Małe pomieszczenie, z okropnymi zaciekami na ścianach i suficie, z pojedynczym oknem częściowo zasłoniętym splekanymi i poplamionymi żaluzjami. Było też znajome łóżko z błyszczącymi, choć nieco wytartymi gałkami i puchowymi poduchami, biurko z sosnowego drewna, nocny stolik z buteleczkami na tabletki, magazyny ilustrowane, książki w miękkich okładkach, pełna popielniczka na egzemplarzu „Hollywood Tattler”; wokoło wisiało jeszcze więcej ubrań i stało tu więcej otwartych, lecz nierozpakowanych pudeł; nad łóżkiem wielkie, jaskrawe zdjęcie z „The Hollywood Revue” z 1929 roku przedstawiające Marie Dressler w białej przejrzystej sukni. Gladys wyglądała na podnieconą, oddychała szybko i przyglądała się, jak Norma Jeane rozgląda się z niepokojem – no bo gdzie się podziała „niespodzianka”? Schowała się? Pod łóżkiem? W garderobie? (Lecz garderoby tu nie było, tylko stojąca pod ścianą szafa z płyty pilśniowej). Brzęczała samotna mucha. Przez okno w pokoju widać było jedynie pustą, brudną ścianę sąsiedniego budynku. Norma Jeane zachodziła w głowę: *Gdzie? Kto to taki?*, nawet wówczas gdy Gladys ukłuła ją lekko między łopatkami, upominając trochę gniewnie:

– Normo Jeane, daję słowo, czasem jesteś nierozgarnięta jak... jak nie przymierzając półgłówek. Naprawdę nie widzisz? Otwórz oczy i popatrz. Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

Wreszcie Norma Jeane zorientowała się, na co wskazuje Gladys.

To nie mężczyzna. To zdjęcie mężczyzny, wiszące na ścianie obok lustra na komodzie.

## 2 *W dniu szóstych urodzin po raz pierwszy ujrzałam jego twarz.*

*Wcześniej nic o tym nie wiedziałam – miałam ojca! Ojca jak inne dzieci.*

*Zawsze podejrzewałam, że jego nieobecność ma coś wspólnego ze mną. Z czymś złym, nieodpowiednim, co tkwiło we mnie.*

*Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział? Ani matka, ani babcia, ani dziadek. Nikt.*

*A jednak nigdy nie spojrzę na jego prawdziwą twarz. I umrę przed nim.*



– I co, Normo Jeane? Nie uważasz, że jest przystojny? Twój ojciec.

Głos Gladys, który czasem wydawał się beznamietny, bezbarwny, odrobinę drwiący, drżał teraz jak u niedoświadczonej dziewczyny.

Norma Jeane bez słowa wpatrywała się w mężczyznę, który był podobno jej ojcem. W mężczyznę z fotografii. Mężczyznę na ścianie obok lustra na komodzie. *Ojciec?* Całe jej ciało wydawało się rozpalone i pulsujące jak skaleczony kciuk.

– O, proszę. Ale uważaj. Nie wolno go dotykać lepкими palcami.

Uroczystym gestem Gladys zdjęła ze ściany oprawioną fotografię. Prawdziwą fotografię. Norma Jeane dostrzegła połysk charakterystyczny dla prawdziwego zdjęcia, a nie plakatu czy strony wyrwanej z jakiegoś pisma.

Gladys z namaszczeniem trzymała fotografię w dłoniach obciążonych wspaniałymi rękawiczkami. Norma Jeane wprawdzie miała zdjęcie na poziomie oczu, ale nie mogłaby go dotknąć bez wysiłku. A jakże bardzo w takiej chwili pragnęła go dotknąć! Wiedziała jednak z doświadczenia, że nie należy dotykać specjalnych rzeczy Gladys.

– On... On jest moim ojcem?

– Z całą pewnością. Masz jego seksowne, niebieskie oczy.

– A gdzie... gdzie on...

– Sza! P a t r z.

To była scena z jakiegoś filmu. Norma Jeane niemal słyszała skoczną melodię.

Jakże długo obie patrzyły! W ciszy pełnej uszanowania kontemplanowały „mężczyznę w ramkach”, „mężczyznę na zdjęciu”, „mężczyznę, który był ojcem Normy Jeane”, mężczyznę złowrogo przystojnego, mężczyznę o gładkich, pokrytych brylantyną gęstych włosach, mężczyznę z cieniutką linią wąsów na górnej wardze, mężczyznę o białych, niemal niedostrzegalnie opadających powiekach nad przenikliwymi oczami. Mężczyznę o mięsistych, lekko rozchylonych w uśmiechu ustach, mężczyznę, który zdawał się wstydliwie unikać ich spojrzeń, mężczyznę o uniesionym podbródku, o dumnym, orlim nosie i z wgłębieniem w lewym policzku, dołkiem jak u Normy Jeane. Albo bliźną.

Był starszy od Gladys, ale tylko trochę. Miał trzydzieści kilka lat, twarz aktora z wystudiowanym wyrazem świadczącym o dużej pewności siebie. Filcowy kapelusz przechylony z fantazją na dumnie uniesionej głowie i biała koszula z miękkim, falbaniastym kołnierzykiem sprawiały wrażenie kostiumu filmowego z minionych czasów. Mężczyzna, jak się wydawało Normie Jeane, już, już miał się odezwać, ale w końcu nie zrobił tego. *Tak usilnie nastuchiwałam. Jakbym wcześniej ogłuchła.*

Serce trzepotało w piersi Normy Jeane jak skrzydła kolibra. Biło głośno, rozbrzmiewało w całym pokoju. Lecz Gladys niczego nie

zauważyła i nie odezwała się. Sama wpatrywała się w mężczyznę na zdjęciu żarliwie i z zachwytem, powtarzając w uniesieniu niczym natchniona piosenkarka:

– Twój ojciec. Nosi piękne nazwisko, nazwisko kogoś ważnego, ale nie mogę go ujawnić. Nawet Della go nie zna. Delli może się здаwać, że jest inaczej, ale ona naprawdę nic nie wie. I nie może się dowiedzieć! Nawet o tym, że ty go widziałas. Nasza sytuacja jest bardzo skomplikowana, rozumiesz. Kiedy się urodziłaś, twój ojciec przebywał daleko stąd; nawet teraz jest daleko i niepokoi się o swoje bezpieczeństwo. Uwielbia podróże i gdyby żył w dawnych czasach, pewnie zostałby wojownikiem. Tak się złożyło, że narażał życie w służbie demokracji. Głęboko w naszych sercach on i ja należymy do siebie... jesteśmy mężem i żoną. Chociaż gardzimy konwencjami i nie przystajemy na nie. „Kocham cię, kocham naszą córkę, a pewnego dnia wrócę po was do Los Angeles”... oto, co mi obiecał twój ojciec, Normo Jeane. Obiecał nam obu.

Gladys zamilkła na chwilę, zwilżyła usta.

Choć mówiła do Normy Jeane, sprawiała wrażenie, jakby nie do końca miała świadomość jej obecności. Wpatrywała się w fotografię, od której zdawały się odbijać wiązki rozszczepionego światła. Jej pokryta potem skóra płonęła rumieńcem, usta wyglądały na opuchnięte, jakby otarte pod warstwą jasnoczerwonej szminki; dłonie w ażurowych rękawiczkach nieznacznie drżały. Norma Jeane zapamięta, że próbowała się skoncentrować na słowach matki, a nie na szumie w uszach i nieprzyjemnym ucisku głęboko w brzuchu, jakby musiała koniecznie iść do toalety, ale nie śmiała się odezwać ani nawet poruszyć.

– Twój ojciec miał kontrakt z Wytwórnią, kiedy się spotkaliśmy, przed ośmiu laty, w dzień po Niedzieli Palmowej; zawsze będę pamiętała! Należał do najbardziej obiecujących młodych aktorów, lecz... Cóż, mimo naturalnego talentu i znakomitej prezencji – drugi Valentino, jak powiadał sam pan Thalberg – brakowało mu dyscypliny, cierpliwości i powagi. Wygląd, styl i osobowość, Normo Jeane, to nie wszystko, trzeba jeszcze przestrzegać pewnych zasad. Okazywać pokorę. Ukrywać własną dumę i harować jak koń. Kobietom to wszystko przychodzi łatwiej. Ja także podpisałam kiedyś umowę, na krótko. Jako młoda aktorka. Ale zmieniłam działkę. Z własnej woli! Bo zrozumiałam, że nic z tego nie będzie. Ale on był oczywiście typem buntownika. Przez pewien czas pracował jako dubler Chestera Morrisa i Donalda Reeda. W końcu jednak odszedł. „Mając do wyboru duszę i karierę, wybieram duszę”, powiedział.

W podnieceniu Gladys dostała ataku kaszlu. Niósł się od niej silny zapach perfum, zmieszany z nikłą, kwaśnocytrynową wonią chemikaliów, którymi wydawała się nasiąknięta jej skóra.

Norma Jeane zapytała, gdzie jest ojciec.

Gladys odpowiedziała ze złością:

– Daleko, głuptasie. Już ci mówiłam.

Nastrój Gladys ulegał zmianom. Często tak bywało. Podkład muzyczny też się gwałtownie zmienił. Teraz przypominał zgrzyt piły albo szum fal, które bezlitośnie wdzierają się na plażę, gdzie Della, utyskująca i zadyszana z powodu „wysokiego ciśnienia”, chodziła „dla zdrowia” z Normą Jeane po ubitym piasku.

*Nigdy nie zapytałabym dlaczego. Dlaczego nikt mi nie powiedział aż do tamtej chwili.*

*Dlaczego dowiedziałam się o tym teraz.*

Gladys powiesiła fotografię z powrotem. Tylko że gwóźdź nie trzymał się już tak pewnie w gipsowej ścianie. Samotna mucha nadal brzęczała, uderzając ustawicznie i z nadzieją o szybę.

– Przekłęta mucha, której brzęk „przez śmierć słyszałam”<sup>\*</sup> – zauważyła tajemniczo Gladys.

Taka właśnie była Gladys. Wyrażała się tajemniczo w obecności Normy Jeane, choć niekoniecznie zwracała się do niej. Córka była świadkiem, uprzywilejowanym obserwatorem, jak stróż w kinie – szefowie udają, że go nie dostrzegają albo naprawdę go nie dostrzegają. Upłynęło trochę czasu, nim gwóźdź znowu mocno utkwiał w ścianie i nim ramka zawisa równo. Jeśli chodziło o tego rodzaju drobiazgi, Gladys była perfekcjonistką, upominała Normę Jeane, gdy ta krzywo powiesiła ręcznik albo niestarannie poustawiała książki na półkach. Kiedy mężczyzna na fotografii wrócił bezpiecznie na ścianę przy lustrze komody, Gladys postąpiła kilka kroków w tył i odprężyła się nieco. Norma Jeane wciąż patrzyła na zdjęcie jak zaczarowana.

– Oto twój ojciec. Ale to nasza tajemnica, Normo Jeane. Na razie wystarczy, jak będziesz wiedziała, że jest daleko. Ale pewnego dnia – może już wkrótce – wróci do Los Angeles. **O b i e c a ł.**

*Będzie się mówiło, że nie byłam szczęśliwa jako dziecko, że moje dzieciństwo było okresem rozpacz, lecz ja wam powiem: nigdy nie byłam nieszczęśliwa. Nigdy nie byłam nieszczęśliwa, póki miałam matkę, a pewnego dnia pojawił się także ojciec. I jego też mogłam kochać.*

Była jeszcze babcia Della, matka matki Normy Jeane.

Silna kobieta o brwiach gęstych niczym szczotki i łobuzerskim wąsiku pod nosem. Della w swoisty sposób stawiała w drzwiach wejściowych albo na werandzie budynku. Z rękoma opartymi na biodrach wyglądała jak kufel z dwoma uchami. Sklepikarze bali się jej groź-

<sup>\*</sup> W przekładzie Stanisława Barańczaka.

nego wzroku i ciętego języka. Przepadała za kowbojem Williamem S. Hartem, uwielbiała Charliego Chaplina, geniusza mimiki, i chciała się, że pochodzi „z dobrego rodu amerykańskich pionierów”; przyszła na świat w Kansas, przeniosła się do Nevady, potem do południowej Kalifornii, gdzie spotkała i poślubiła ojca Gladys, który został podtruty, jak powiadała Della z wyrzutem, w Argonne około roku 1918... „Przynajmniej żyje. Nareszcie za coś można być wdzięcznym rządowi Stanów, nie?”

Tak, był jeszcze dziadek Monroe, mąż Delli, który z nimi mieszkał. Norma Jeane żyła w przekonaniu, że jej nie lubi, ale właściwie dziadka i tak jakby tam nie było. Na pytanie o niego Della niezmiennie odpowiadała wzruszeniem ramion i słowami: „Przynajmniej żyje”.

Babcia Della! Postać znana w całym sąsiedztwie.

Babcia Della była źródłem wszystkiego, co Norma Jeane wiedziała – albo co wydawało się jej, że wie – o Gladys.

Najważniejszy fakt dotyczący Gladys był też jej główną tajemnicą: nie mogła być prawdziwą matką dla Normy Jeane. Nie teraz.

– Nie obwiniajcie mnie – oświadczyła Gladys, nerwowo zapalając papierosa. – Niech nikt z was mnie nie obwinia. Bóg wystarczająco mnie ukarał.

Ukarał? W jaki sposób?

Gdy Norma Jeane miała odwagę zadać takie pytanie, Gladys przymykała powieki nad swymi ślicznymi, choć nieco przekrwionymi szarobłękitnymi oczyma, w których ciągle błyszczała wilgoć.

– Nawet nie pytaj. Po tym wszystkim, co uczynił Bóg. Rozumiesz?

Norma Jeane uśmiechnęła się. Uśmiech nie oznaczał wcale, że rozumie, ale że jest szczęśliwa, nie rozumiejąc.

Niemniej: wiadomo było, że przed Normą Jeane Gladys miała „inne dziewczynki” – „dwie dziewczynki”. Ale gdzie się one podziały?

– Niech mnie nikt z was nie obwinia, do licha!

Zdaje się, że Gladys, choć w wieku trzydziestu jeden lat wyglądała bardzo młodo, miała za sobą dwa małżeństwa.

Pewne natomiast było – co Gladys potwierdzała dość pogodnie, w sposób charakterystyczny dla postaci filmowej z komicznymi nawykami albo tikiem – że jej nazwisko często się zmieniało.

Della opowiadała historię, jedną z jej najbardziej bolesnych matczyńskich historii, o tym, jak Gladys urodziła się i została ochrzczona jako Gladys Pearl Monroe w Hawthorne, hrabstwo Los Angeles, w roku 1902. Jako siedemnastolatka poślubiła (wbrew woli Delli) mężczyznę o nazwisku Baker, zatem została panią Gladys Baker, lecz (oczywiście!) ten związek nie przetrwał nawet roku, więc się rozwiodła i wyszła za „parkingowego Mortensena” (ojca dwóch zaginionych, nieobecnych starszych siostr?), ale i to nie wypaliło (oczywiście!) i Mortensen odszedł z życia Gladys – chwala Bogu. Tyle że nazwisko Gladys nadal

brzmiało Mortensen na pewnych dokumentach, których nie zmieniała i nie chciała zmieniać, ponieważ przerażało ją wszystko, co wiązało się z papierami i prawem. Mortensen nie był rzecz jasna ojcem Normy Jeane, ale jego nazwiskiem Gladys posługiwała się od pierwszego dnia życia dziewczynki. A jednak – oto fakt, który najbardziej złościł Dellę, taki był perwersyjny – oficjalne nazwisko Normy Jeane brzmiało Baker, nie Mortensen.

– Wiesz dlaczego? – Della mogła zapytać kogoś z sąsiedztwa, jeśli tylko ten ktoś miał dość cierpliwości, by wysłuchiwać tego rodzaju głupot. – Ponieważ moja zwariowana córka „mniej nienawidziła” Bakera. – Della mówiła dalej, wprawiając się w nastrój szczerego przygnębienia: – W nocy nie mogę zasnąć. Żal mi tego biedactwa, które nie wie, kim jest. Powinnam zaadoptować Normę Jeane i dać jej własne nazwisko, skromne i niezbrukane – Monroe.

– Nikt nie zaadoptuje mojego maleństwa – oświadczyła zdecydowanie Gladys – póki żyję i mogę temu zapobiec.

*Póki żyję.* Norma Jeane dobrze wiedziała, jakie to było ważne, pozostać przy życiu.

Zatem Norma Jeane oficjalnie była Normą Jeane Baker. W wieku siedmiu miesięcy została ochrzczona przez sławną ewangelizatorkę Aimee Semple McPherson w świątyni Międzynarodowego Kościoła Otwartej Ewangelii (do którego wówczas należała Della) i miała nosić to nazwisko, póki nie zmieni go za sprawą mężczyzny, który weźmie sobie Normę Jeane za „żonę”, póki jej imię i nazwisko nie zmieni się na mocy pewnej decyzji mężczyzn. *Zrobiłam to, czego ode mnie wymagano. A wymagano ode mnie, żebym pozostała przy życiu.*

W osobliwym przypiływie macierzyńskich uczuć Gladys wyjaśniła Normie Jeane, że jej imiona zostały starannie dobrane.

– Norma – to na cześć wielkiej Normy Talmadge, a Jeane – kogóż by innego, jak nie Harlow? – Nazwiska te niewiele znaczyły dla dziecka, ale Norma Jeane widziała, jak Gladys drży na sam ich dźwięk. – Ty, Normo Jeane, połączysz w sobie obydwie, rozumiesz? Połączysz je w swoim losie.

– No, więc, Normo Jeane, teraz wiesz!

To była wiedza olśniewająca jak słońce. Porażająca jak uderzenie w twarz. Uszminekowane na czerwono usta Gladys, na których rzadko gościł uśmiech, teraz właśnie rozchylały się radośnie. Gladys oddychała szybko, jakby przed chwilą biegła.

– Zobaczyłaś właśnie jego twarz. Twarz twojego prawdziwego ojca, który nie nazywa się Baker. Tylko nie mów o tym nikomu, słyszysz? Zwłaszcza Delli.

– T...tak, Mamo.

Między starannie wyregulowanymi brwiami Gladys pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Co takiego, Normo Jeane?

– Tak, Mamo.

– No, to rozumiem!

Norma Jeane nie mogła wyzbyć się jąkania, tylko że tym razem przesunęło się ono z języka do jej serca kolibra, gdzie pozostanie ukryte.

W kuchni Gladys zdjęła jedną ze swych cudownych ażurowych rękawiczek i w formie pieśczozy przesunęła nią po karku Normy Jeane.

Co za dzień! Szczęście niczym wilgotna mgła spowiło płaski krajobraz miasta. Szczęście wdychane z każdym oddechem. Gladys mruknęła:

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Normo Jeane! – i: – Czy ci nie mówiłam, że to twój specjalny dzień?

Zadzwoił telefon. Gladys uśmiechnęła się do siebie, ale nie podniosła słuchawki.

Żaluzje w oknach były opuszczone aż po parapety. Gladys wspominała coś o „ciekawskich” sąsiadach.

Gladys zdjęła tylko lewą rękawiczkę. Mogło się здаwać, że o prawej zupełnie zapomniała. Norma Jeane zwróciła uwagę, że na lekko zaczerwienionej skórze lewej dłoni odcisnęły się małe romby. Gladys miała na sobie sukienkę z krepy w kolorze kasztanowym, dopasowaną w talii, z wysokim kołnierzykiem i obszernym dołem, który przy poruszaniu się wydawał odgłos przypominający oddech. Norma Jeane nigdy wcześniej tej sukni nie widziała.

Każda chwila była brzemienna w znaczeniu. Każda chwila, jak każde uderzenie serca, to sygnał ostrzegawczy.

W niszy kuchennej Gladys nalewa do wyszczerbionych filiżanek sok winogronowy dla Normy Jeane i intensywnie pachnącą „wodę z medykamentami” dla siebie. Niespodzianką jest ciasto urodzinowe! Waniliowa polewa, sześć małych różowych świeczek i napis z gęstego czerwonego syropu:

NORMIEJEAN  
SCZEŚCIA W DNIU URODZIN

Sam widok, no i ten cudowny zapach, sprawił, że Normie Jeane ślinka napłynęła do ust. Ale Gladys była najwyraźniej rozzłoszczona.

– Zakuta pała z tego piekarza, zrobił błąd w słowie „szczęścia” i w twoim imieniu, a przecież powiedziałam mu.

Z drobnymi problemami, drżącymi rękoma, choć może to pokój wibrował albo górna warstwa ziemi (w Kalifornii człowiek nigdy nie wie, co jest rzeczywiste, a co jest tylko wytworem wyobraźni), Gladys

zdolała zapalić sześć świeczek. Zadaniem Normy Jeane było zdmuchnięcie bładych, migoczących nerwowo płomyków.

– A teraz, Normo Jeane, musisz sobie pomyśleć życzenie – oświadczyła z zapalem Gladys, pochylając się do przodu w taki sposób, że niemal dotknęła ciepłej twarzy dziecka. – Życzenie, by pewien mężczyzna, wiadomo kto, wkrótce do nas wrócił. No, dalej!

Zamknawszy oczy, Norma Jeane pomyślała o życzeniu i jednym dmuchnięciem zgasila wszystkie małe świece z wyjątkiem jednej. Tę ostatnią zdmuchnęła Gladys.

– Proszę bardzo. Dobrze to jak modlitwa.

Przez chwilę Gladys szperała w szufladzie, starając się zlokalizować nóż nadający się do ukrojenia tortu; w końcu znalazła „rzeźnicki nóż – tylko się nie bój!”, a jego długie ostrze błyszczało jak słońce odbite od przybrzeżnych fal w Venice Beach, raziło w oczy, lecz nie można było nie patrzeć. Gladys wtopiła ostrze w ciasto, marszcząc w skupieniu czoło i przytrzymując dłoń w rękawiczce dłonią bez rękawiczki, odkroiła po jednym kawałku dla każdej z nich; ciasto było nieco wilgotne i kleiło się w środku, a kawałki wystawały poza brzegi podstawek pod filiżanki, których Gladys użyła jako talerzyków. *Ależ było dobre! Tamto ciasto smakowało wybornie. Już nigdy więcej nie skosztowałam czegoś tak smacznego.* Matka i córka jadły z apetytem; dla każdej z nich ciasto było pierwszym posiłkiem tego dnia, którego minęła już więcej niż połowa.

– A teraz, Normo Jeane, czas na prezenty.

Po raz drugi odezwał się dzwonek telefonu. A Gladys tylko uśmiechała się promiennie, jakby w ogóle nic nie słyszała. Wyjaśniała właśnie, że zabrakło jej czasu, aby prezenty odpowiednio zapakować. Pierwszym był zrobiony szydełkiem ładny różowy sweterek z bawełny, który w miejscu guzików miał wyszyte pąki róż, sweterek raczej dla młodszego dziecka, ponieważ był za ciasny na Normę Jeane, dziewczynkę i tak dość małą jak na swój wiek, lecz Gladys, zachwycona, sprawiała wrażenie, że niczego nie zauważa:

– Czyż nie jest czarujący! Jesteś małą księżniczką.

Potem przyszła kolej na mniejsze sztuki garderoby: białe bawełniane skarpety, bieliznę (zachowały się metki ze sklepu z przecenionymi rzeczami). Już od miesięcy Gladys nie kupowała córce tego rodzaju drobiazgow; poza tym od kilku tygodni spóźniała się z przekazywaniem Delli pieniędzy, więc Norma Jeane z radością pomyślała, że Della się z tego ucieszy. Podziękowała matce, a Gladys strzeliła palcami i powiedziała:

– Och, nie ma za co, to zaledwie wstęp. Ch o d ź.

Z wyraźnym talentem dramatycznym zaprowadziła dziewczynkę do sypialni, gdzie na honorowym miejscu wisiała fotografia przystojnego mężczyzny, i gwałtownym szarpnięciem wysunęła z komody górną szufladę.

– *Presto*, Normo Jeane! Oto coś dla ciebie.

Lalka?

Norma Jeane stanęła na palcach i z zapalem, nieporadnie wyciągała lalkę o złocistych włosach, okrągłych, niebieskich szklanych oczach i ustach jak pączek róży, kiedy Gladys zapytała:

– Czy pamiętasz, Normo Jeane, kto tutaj sypiał, w tej szufladzie? – Norma Jeane potrząsnęła głową. – Nie w tym mieszkaniu, ale w tej szufladzie. Właśnie t e j. Nie pamiętasz, kto tu sypiał? – Norma Jeane znowu potrząsnęła głową. Zaczęła czuć się nieswojo. Gladys tak dziwnie na nią patrzyła, miała oczy szeroko otwarte, jakby naśladowała lalkę, tylko że oczy Gladys były bladoniebieskie, a usta jasnoczerwone. Wreszcie Gladys ze śmiechem zdradziła, o co jej chodzi: – Ty, ty, Normo Jeane. Sypiałeś właśnie w tej szufladzie! Byłam tak biedna, że nie mogłam sobie pozwolić na łóżeczko dla ciebie. Ale ta szuflada była twoim łóżeczkiem, kiedy byłeś małym niemowlęciem; nic innego wcale nie było nam potrzebne, prawda?

W głosie Gladys wyczuwało się lekkie drżenie. Gdyby do tej sceny dopasować muzykę, musiałyby to być szybkie staccato. Norma Jeane potrząsnęła głową, nie, nie pamiętała tego, tak jak nie pamiętała pieluch oraz tego, jak trudno było Delli i Gladys nauczyć ją korzystać z nocnika. Gdyby miała czas dokładnie przyjrzeć się najwyższej szufladzie w sosnowej komodzie i zobaczyć, w jaki sposób można ją zamknąć, zebrałyby się jej na młodości, zupełnie tak samo, jakby stała na samym szczycie schodów albo wyrzała przez położone wysoko okno, albo wbiegła do wody wprost pod wysoką, przełamującą się falę, bo niby jak ona mogła, duża sześciolatka dziewczynka, zmieścić się kiedykolwiek w tak ciasnym miejscu? – i czy ktoś zamykał tę szufladę, aby stłumić jej płacz? Ale Norma Jeane nie miała czasu myśleć o tym, skoro w ramionach trzymała urodzinową lalkę, najpiękniejszą lalkę, jaką kiedykolwiek widziała z bliska, tak piękną jak Śpiąca Królowna w książce z obrazkami, lalkę z falami złocistych włosów sięgających ramion, miękkich i jedwabistych jak prawdziwe włosy, ładniejszych niż jasnobrązowe włosy Normy Jeane i całkowicie niepodobnych do syntetycznych włosów większości lalek. Ta lalka nosiła małą szlafmycę i flanelową koszulę nocną w kwiaty, jej skóra była gładka, miękka, doskonała, a jej paluszki ukształtowane idealnie! Małe stopy ginęły w białych bawełnianych bucikach związanych różowymi wstążkami! Norma Jeane pisnęła z zachwytu i chciała przytulić się do matki, aby jej podziękować, ale Gladys zeszytniała tak wyraźnie, że dziecko zorientowało się, iż lepiej tego nie robić. Gladys zapaliła papierosa i z rozkoszą wypuściła dym; paliła chesterfieldy, ulubioną markę Delli (choć Della była przeświadczona, że palenie jest fatalnym nawykiem i oznaką słabości, którą zdecydowana była zwalczyć). Odezwała się z nutą złośliwości w głosie:



– Musiałam zadać sobie dużo trudu, aby ją zdobyć dla ciebie, Normo Jeane. Spodziewam się, że przejmiesz odpowiedzialność za tę lalkę. – Słowa „odpowiedzialność za tę lalkę” dziwnie zawisły w powietrzu.

Norma Jeane z całego serca pokocha blondwłosą lalkę! Jedną z największych miłości jej dzieciństwa.

Z jednym wyjątkiem: niepokoiło ją, że kończyny lalki są w tak oczywisty sposób pozbawione kości, luźne; bez trudu można sprawić, iż będą się kołysały na wszystkie strony. Kiedy się położyło lalkę na plecach, jej stopy po prostu opadały.

Norma Jeane wyjąkała:

– J...jak ona się nazywa, Mamo?

Gładys znalazła buteleczkę z aspiryną, wytrząsnęła kilka tabletek na dłoń i połknęła je bez popijania. Powiedziała głośno, tym swoim wyzywającym tonem charakterystycznym dla Harlow, poruszając zabawnie cienkimi kreskami brwi:

– To zależy od ciebie, dzieciaku.

Norma Jeane starała się ze wszystkich sił wymyślić imię dla lalki. Starła się bardzo, ale w myślach też jakby się jąkała: w ogóle nic nie przychodziło jej do głowy. Zaczęła się martwić i ssać kciuk. Imiona są takie ważne! – jak się nie zna czyjegoś imienia, to nie da się o tej osobie myśleć, a z kolei innym potrzebne jest twoje imię – bo inaczej gdzie byś była?

Norma Jeane wykrzyknęła:

– Mamo, jak się n...nazywa ta lalka? Powiedz, proszę.

Bardziej rozbawiona niż zdenerwowana, a przynajmniej tak się wydawało, Gładys zawołała z drugiego pokoju:

– Do licha, nazwij ją Norma Jeane: czasem jest prawie tak samo rozgarnięta jak ty. Słowo daję.

Tyle przeżyć, dziecko było zmęczone.

Pora, by Norma Jeane przespała się trochę.

Ale zadzwonił telefon. Kiedy popołudnie przechodziło w wieczór. Dziecko pomyślało niespokojnie: „Dlaczego Matka nie podnosi słuchawki. A jeśli to Ojciec? Albo może ona wie, że to nie Ojciec, a jeśli tak, to skąd?”

W bajkach braci Grimm, czytanych Normie Jeane przez babcie Dellę, działy się rzeczy, które normalnie mogą się tylko przyśnić, które są dziwne i straszne jak sny, ale nimi nie są. Chciałbyś się z nich obudzić, lecz nie możesz.

Normie Jeane zachciało się spać. Wcześniej była bardzo głodna, więc zjadła dużo ciasta, jak świnka zjadła na śniadanie mnóstwo urodzinowego tortu, dostała mdłości, rozboleły ją zęby, może też Gładys dołała odrobiny swego bezbarwnego napoju do soku Normy

Jeane – „kapkę, dla zabawy” – w każdym razie dziewczynka nie mogła otworzyć oczu, głowa jej się kiwała na ramionach jak idiotce; Gladys musiała zawlec ją do nagrzananej, dusznej sypialni i choć wolałaby, aby dziewczynka tu nie spała, położyła ją na zapadniętym, przykrytym kordonkową narzutą łóżku, ściągnęła jej buty i – zawsze wrażliwa, gdy chodziło o tego rodzaju sprawy – podłożyła ręcznik pod głowę. „Nie oślinisz mi poduszki”. Kordonkowa narzuta w kolorze dyni, teraz już wyblakła, należała do przedmiotów, które Norma Jeane zapamiętała z poprzednich wizyt w „rezydencjach” matki; tu i ówdzie widać było miejsca nadpalone papierosami oraz dziwne smugi i plamy w odcieniu rdzy albo zakrzepłej krwi.

Ze ściany przy komodzie ojciec Normy Jeane spoglądał na swoją córkę. Ona patrzyła na niego przez zmrużone powieki. Szepnęła:

– Tato.

Pierwszy raz! W szóste urodziny.

Pierwszy raz wypowiedziała słowo „tato”.

Gladys opuściła żaluzje aż po parapet, ale stare, popękane listewki nie mogły powstrzymać ostrych promieni popołudniowego słońca. Palącego oka Boga. Bożego gniewu. Babcia Della była gorzko rozczarowana Aimee Semple McPherson i Kościołem Otwartej Ewangelii, lecz mimo wszystko zachowała wiarę w to, co nazywała Słowem Bożym, w Świętą Biblię: „Trudna to nauka, a my jesteśmy przeważnie głusi na jej mądrości, lecz nic innego nie mamy”. (Ale czy tak było? Gladys miała własne książki i nigdy nie wspominała o Biblii. Jedynie o filmach rozprawiła z prawdziwą pasją).

Słońce opuściło się nad horyzont, kiedy Normę Jeane wytrącił ze snu dzwonek telefonu w sąsiednim pokoju. Zgrzytliwy dźwięk, szyderstwo, dźwięk rozniewanego dorosłego, zapowiedź męskich wyrzutów. „Wiem, że tam jesteś, Gladys, wiem, że słyszysz; nie możesz ukryć się przede mną”. Aż wreszcie Gladys chwyciła za słuchawkę i odezwała się piskliwym, niewyraźnym głosem, tonem prawie błagalnym:

– Nie! Nie mogę, nie dzisiaj, przecież mówiłam, mówiłam, że moja córka ma urodziny, chcę ten dzień spędzić tylko z nią. – Kolejne słowa brzmiały bardziej natarczywie, jak piski i krzyki rannego zwierzęcia: – Ależ tak, przecież mówiłam ci, mam dziewczynkę, nie dbam o to, co ci się wydaje, jestem normalną osobą, a przy tym matką, mam dzieci, jestem normalną kobietą i nie chcę tych twoich brudnych pieniędzy, nie, powiedziałam, że nie mogę się z tobą dzisiaj spotkać, ani dzisiaj, ani jutro, zostaw mnie w spokoju albo pożałujesz, a jeśli przywleczesz się tutaj i zrobisz użytek z klucza, wtedy wezwę policję, ty gnoju!

Kiedy przyszłam na świat 1 czerwca 1926 roku w Los Angeles County General Hospital, moja matka zaginęła.

Gdzie się podziała? Tego nikt nie wiedział!

Potem znaleźli miejsce, gdzie się ukrywała, byli wstrząśnięci, wyrażali dezaprobatę, mówili: „Ma pani piękne dziecko, pani Mortensen, nie chce pani potrzymać swego pięknego dziecka? To dziewczynka, pora na karmienie”. Lecz matka odwróciła się twarzą do ściany. Z jej piersi mleko wyciekało jak ropa z wrzodu, ale nie dla mnie.

Jakaś obca osoba, pielęgniarka, nauczyła matkę, jak mnie podnosić i trzymać. Jak jedną dłońią ująć delikatny tył dziecięcej główki i drugą podtrzymywać kręgosłup.

„A jeśli ją upuszczę?”

„Nie upuści pani!”

„Jest taka ciężka i rozpalona. Kopie”.

„Jest normalnym, zdrowym dzieckiem. Ślicznotką. Proszę spojrzeć na te oczy!”

W Wytwórni, gdzie Gladys Mortensen pracowała od dziewiętnastego roku życia, istniał świat, który widziało się na własne oczy, i świat, który widziało się okiem kamery. Pierwszy nie liczył się wcale, drugi był wszystkim. Nic zatem dziwnego, że po jakimś czasie matka zaczęła na mnie patrzeć za pośrednictwem zwierciadła. W taki sam sposób się do mnie uśmiechała. (Nigdy bezpośrednio, twarzą w twarz). Poprzez lustro, które jest jak oko kamery, można prawie kochać.

*Kochałam ojca tego dziecka. Nazwisko, które mi zdradził, nie istnieje. Dał mi 225 dolarów i jakiś numer telefonu, abym SIĘ DZIECKA POZBYŁA. Czy ja naprawdę jestem matką? Czasami w to nie wierzę.*

Nauczyliśmy się patrzeć w lustrzane odbicia.

W lustrze widziałam moją Przyjaciółkę. Kiedy tylko stałam się wystarczająco dorosła.

Magiczną Przyjaciółkę.

Była w tym jakaś czystość. Nigdy nie doświadczałam swej twarzy i ciała od środka (gdzie panowało senne odrętwienie), lecz jedynie poprzez lustro, synonim wyrazistości i czystości. Tak właśnie widziałam siebie.

Gladys roześmiała się. „Do licha, ten dzieciak wygląda całkiem nieźle, prawda? Chyba ją zatrzymam”.

Nie była to decyzja na zawsze. Jedynie na dzień, na chwilę.

W smudze błękitnego dymu przekazywano mnie z rąk do rąk. Trzytygodniowe niemowlę w kocyku. Jakaś kobieta zawołała pijackim głosem: „Och, główka! Ostrożnie, podłóż rękę pod jej główkę”. Inna kobieta powiedziała: „Chryste, ale tu dymu, gdzie się podziała Gladys?”. Zaglądali mężczyźni. Uśmiechali się. „To mała dziewczynka, co? Tam, w dole, wygląda jak jedwabna torebka. Jest taka gładziutka”.

Później jeden z nich pomagał matce mnie kąpać. A potem sami się kąpali! Piski i śmiech, ściany wyłożone białymi kaflami. Na podłodze kałuże wody. Perfumowane sole do kąpieli. Pan Eddy był bogaty! Miał trzy modne knajpki w Los Angeles, gdzie gwiazdy jadły posiłki i tańczyły. Pan Eddy występował w radiu. Pan Eddy potrafił żartować, zostawiał dwudziestodolarówki w zabawnych miejscach: na bloku lodu w lodówce, zwinięte i wsunięte w zasłonę okna, między powydzieranymi kartkami *Skarbczyka amerykańskiej poezji*, przyklejone po wewnętrznej stronie opuszczonego sedesu.

Śmiech matki był przenikliwy i ostry jak kawałeczki rozbitego szkła.

**7** – Ale najpierw musisz się wykąpać.

Słowo „wykąpać” zostało wypowiedziane wolno, zmysłowo.

Gladys piła swoją wodę z dodatkiem medykamentów. Nie była w stanie spokojnie usiedzieć. Na talerzu gramofonu *Mood Indigo*. Palce i twarz Normy Jeane kleiły się od urodzinowego tortu. Noc prawie zapadła, w tym dniu jej szóstych urodzin. A potem już naprawdę była noc. Woda z obu kranów wpadała hałaśliwie do pordzewiałej starej wanny w małej łazience.

A ze szczytu lodówki spoglądała śliczna lalka o blond włosach. Szkliste niebieskie oczy były szeroko otwarte, a usta niczym pączek róży zawsze gotowe do uśmiechu. Kiedy się lalką potrząsnęło, jej oczy otwierały się szerzej. Usta jak pączek róży nie zmieniały się nigdy. Małe stopki w przybrudzonych białych bucikach wyglądały dziwnie, wykręcone na zewnątrz pod osobliwym kątem!

Matka nauczyła Normę Jeane słów. Mruczając i kołysząc się.

Nie jesteś smutna

Nie nie nie

Nie jesteś smutna

Jeśli nie jest to smutek w kolorze indygo

Potem Matkę znudziła muzyka, więc zajęła się szukaniem jednej ze swoich książek. Jednej spośród wielu jeszcze nierozpakowanych książek. Gladys brała kiedyś lekcje wymowy w Wytwórni. Norma Jeane uwielbiała słuchać, jak Gladys jej czyta, ponieważ oznaczało to więcej spokoju. Nie zdarzały się wtedy żadne nagłe wybuchy śmiechu, nie było przekleństw ani łez. A muzyka mogła to wszystko wywoływać. Teraz Gladys z namaszczeniem przeglądała *Skarbczyk amerykańskiej poezji*, swą ulubioną książkę. Trzymała ją w wyprostowanych, szczipłych rękach i z podniesioną głową niczym aktorka filmowa.

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć –  
 Ona sama mnie podwoziła – uprzejma –  
 Bryczka mieściła nas dwie –  
 I jeszcze – Nieśmiertelność –\*

Norma Jeane słuchała uważnie. Kiedy Gladys skończyła wiersz, odwróciła się do niej z błyszczącymi oczami.

– O czym to jest, Normo Jeane? – Dziewczynka nie wiedziała. Gladys rzekła: – Dowiesz się pewnego dnia, kiedy nie będzie przy tobie matki. – Dołała do filizanki mocnego napoju i wypila.

Norma Jeane miała nadzieję, że matka przeczyta jej jeszcze inne wiersze, wiersze rymowane, wiersze, które zdoła zrozumieć, ale wyglądało na to, że Gladys tego wieczoru już do wierszy nie wróci. Nie przeczyta też nic z *Wehikułu czasu* czy *Wojny światów*, tych „profetycznych książek” – „książek, które wkrótce się urzeczywistnią” – co czasami czyniła swym intensywnym, wibrującym głosem.

– Pora na kąpań i e l.

To nic innego, tylko scena z filmu. Odgłos wody tryskającej z kranów miesza się z muzyką, którą się niemal słyszało.

Gladys pochyliła się nad Normą Jeane, aby ją rozebrać. Ale przecież Norma Jeane sama umiała się rozebrać! Miała sześć lat. Gladys spieszyła się, odsunęła na bok ręce Normy Jeane.

– Ale w s t y d. Cała się wysmarowałaś ciastem.

Spieszyła się, chociaż wanna dopiero się napełniała. Długo to trwało, wanna była taka duża. Gladys zdjęła też swoją sukienkę z krepy, ściągnęła ją przez głowę, aż jej włosy podniosły się w zygzakowatych pasmach. Błada skóra pokryła się warstewką potu. Nie wolno gapić się na ciało Matki, które było wielką tajemnicą: blada, piegowata skóra, sterczące kości, małe i twarde piersi niczym zaciśnięte pięści wypychające koronkową koszulkę. Norma Jeane niemal dostrzegła ogień w naelektryzowanych włosach Gladys. W błyszczących, lekko wytrzeszczonych oczach.

Za oknem wiatr grał w drzewach palmowych. To głosy umarłych, powiedziała Gladys. Pragnących dostać się do środka.

– Do naszego wnętrza – wyjaśniła. Ponieważ ciał jest za mało. W każdym momencie historii nigdy nie jest dosyć ży c i a. A od wojny – nie pamiętasz wojny, nie było cię jeszcze na świecie, ale ja pamiętam, jestem twoją matką i urodziłam się przed tobą – od wojny, kiedy zginęło wielu mężczyzn, wiele kobiet i dzieci, doprawdy brakuje ciał. Wszystkie te biedne dusze zmarłych chcą się wcisnąć.

Norma Jeane przestraszyła się. Niby gdzie wcisnąć?

\* W przekładzie Stanisława Barańczaka.

Gladys zaczęła się przechadzać tam i z powrotem, czekając, aż wanna się napełni. Nie była pijana ani odurzona. Zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni i teraz obie szczupłe ręce były nagie, miejscami złuszczone i pokryte czerwonymi plackami; nie chciała się do tego przyznać, ale praca w Wytwórni, czasem nawet po sześćdziesiąt godzin na tydzień, zabijała ją. Chemikalia przenikały przez skórę, choć nakładała lateksowe rękawiczki, tak jest, przez włosy, przez wszystkie cebulki, płuca, och tak, umierała! Zabijała ją Ameryka! Kiedy zaczęła kaszleć, nie mogła przestać. No tak, ale dlaczego paliła? Jak to, wszyscy w Hollywood palili, paliły postacie z filmów, papieros uspokajał nerwy, pewnie, lecz Gladys nie wykraczała poza marihuanę, poza, jak to określała prasa, „skręty”, do licha, chciała, aby Della wiedziała, że nie jest ćpunką, nie jest narkomanką, nie jest puszczalską, a niech to szlag, i nigdy by tego nie zrobiła za pieniądze, albo prawie nigdy.

A jeśli już, to tylko w czasie tych ośmiu tygodni, gdy nie pracowała w Wytwórni. Po Wielkim Krachu w październiku 1929 roku.

– Wiesz, co to było? Krach?

Norma Jeane zdziwiła się; potrząsnęła głową. Nie. A co?

– Miałaś wtedy trzy lata, dziecko. Znalazłam się w rozpaczliwym położeniu. Zależało mi tylko na jednym: oszczędzić ci e b i e.

Dźwignęła Normę Jeane w chudych, żyłastych ramionach, uniosła ze stęknieniem, a potem opuściła przerażone, kopiące i wyrwyjące się dziecko w parującą wodę. Norma Jeane jęknęła, nie odważyła się jednak krzyknąć, woda była gorąca! bardzo gorąca! istny wrzątek lał się z kranu, który Gladys zapomniała zakręcić, zresztą zapomniała zakręcić oba krany, tak samo jak zapomniała sprawdzić temperaturę wody. Norma Jeane chciała wyskoczyć z wanny, ale Gladys pchnęła ją z powrotem.

– Siedz spokojnie. Umyć się trzeba. Ja też wchodzę do środka. Gdzie jest mydło? No, no, brudasek z ciebie.

Gladys odwróciła się plecami do pojękującej Normy Jeane i szybko pozbyła się reszty ubrania: koszulki, biustonosza, majteczek, zrzucając je radośnie na podłogę niczym tancerka. Naga, bez żenady wskoczyła do dużej, starej wanny stojącej na żeliwnych nóżkach, poślizgnęła się, odzyskała równowagę i zanurzyła się po biodra w wodzie z solą do kąpieli o zapachu wrzosów, usiadła twarzą do przestraszonego dziecka, z nogami rozchylonymi jakby chciała objąć albo przytrzymać dziecko, które przed sześciu laty wydała na świat w udręce rozpaczy i złorzeczeń – „Gdzie jesteś? Dlaczego mnie porzuciłeś?” – pod adresem mężczyzny, który był jej kochankiem, którego imienia ani nazwiska nie wymieniła nawet podczas najtrudniejszych chwil porodu. Ależ to pokraczne, matka i córka w tej wannie z wodą wylewającą się od czasu do czasu na podłogę; Norma Jeane, dźgnięta kolanem matki, zanurzy-

ła się w wodzie po usta, zaczęła krztusić się i kaszleć, ale Gladys szybko wyciągnęła ją za włosy.

– Natychmiast przestań, Normo Jeane! – zbeształa córkę. – Przestań.

Gladys chwyciła kawałek mydła i zaczęła go szybko obracać w dłoniach. Dziwne. Przecież aż się kurczyła, kiedy córka jej dotykała, a teraz była naga, ściśnięta z nią w wannie, i do tego wydawała się skupiona, miała ekstatyczny, nawiedzony wyraz twarzy, zarumienionej od ciepła. Norma Jeane znowu jęknęła, że woda jest zbyt gorąca, Mamo, proszę, woda jest za gorąca, tak gorąca, że prawie straciła czucie. Gladys odpowiedziała surowo:

– O tak, ma być gorąca, tyle jest brudu. Na świecie i w nas.

*To nie był pierwszy raz. I nie miał być ostatni.*

# Miasto z piasku

1 – Normo Jeane, obudź się! Szybko.

Sezon pożarów. Jesień 1934. W głosie Gladys pobrzmiwał strach i podniecenie.

Nocą rozeszła się woń dymu – popiołu! – przypominająca zapach śmieci i odpadków palonych w piecach za starym budynkiem, w którym mieszkała Della Monroe. Tylko że to nie było Venice Beach, lecz Hollywood, Highland Avenue w Hollywood, gdzie wreszcie matka i córka zamieszkały razem, we dwie, *tak jak to miało być, póki on po nas nie przyjedzie*, i nagle zawyły syreny i pojawił się ten odór, jakby palonych włosów, jakby tłuszczu płonącego na patelni, jakby wilgotnych ubrań niedbale przypalonych gorącym żelazkiem. Pozostawienie w sypialni otwartego okna okazało się błędem, ponieważ ów zapach wypełnił pokój: zapach duszący, gryzący, drażniący oczy jak niesiony wiatrem piasek. Zapach jak z rozgrzanej płyty kuchennej, kiedy wtopił się w nią czajnik, z którego wyparowała woda, a Gladys tego nie zauważyła. Zapach jak z wszędobylskich niedopałków i powypalanych dziur w linoleum, w dywanie w różyczki, w podwójnym łóżku z mosiężnymi gałkami przy wezłowiu i puchowymi poduchami dzielonymi przez matkę i córkę, zapach spalonej bielizny, rozpoznany natychmiast przez dziecko pogrążone we śnie; zdarzało się, że kopący chesterfield wypadał z dłoni Gladys, cierpiącej na bezsenność namiętnej czytelniczki, Gladys zapadała w lekką drzemkę, z której budziła ją nagle i gwałtownie, w sposób zupełnie dla niej niepojęty i tajemniczy, strzelająca iskrami poduszka, prześcieradła, szal, często najprawdziwsze płomienie, które tłumiała uderzeniami książki, czasopisma, raz nawet kalendarza zerwanego w pośpiechu ze ściany, albo własnymi pięściami; jeśli ogień się utrzymywał, Gladys, złorzecząc na czym świat stoi, biegła do łazienki, przynosiła w szklance wodę i wylewała ją na płomienie, moczając pościel i materac. „Do licha! Co jeszcze się stanie?” Owe epizody rozgrywały się w slapstickowym



tempie niemych filmów. Norma Jeane, która spała z Gladys, budziła się natychmiast, zrywała z łóżka skupiona i czujna jak każde zwierzę walczące o przeżycie; i często to właśnie ona przynosiła wodę. I choć teraz był to prawdziwy alarm, rzeczywisty niepokój w środku nocy, sytuacja wydawała się wystarczająco znajoma, aby wywołać łańcuch rutynowych działań w sytuacji krytycznej, coś w rodzaju praktycznej metodologii. *Przyzwyczajaliśmy się chronić siebie przed splotnięciem żywcem w łóżku. Nauczyliśmy się radzić sobie.*

– Jeszcze nawet nie zasnęłam! Ciągle o czymś myślę. W mojej głowie panuje pełnia dnia. Zdaje się, że nagle zdrętwiały mi palce. To mi się ostatnio zdarza. Niedawno grałam na fortepianie i nic nie wychodziło. Nigdy nie biorę się do roboty bez gumowych rękawiczek, ale środki chemiczne używane w laboratorium są obecnie bardzo silne. Szkody mogły już się dokonać. Popatrz, zakończenia nerwowe w moich palcach są właściwie martwe, moja dłoń nawet nie drży.

Gladys wyciągnęła niesprawną rękę w stronę córki. I rzeczywiście, chyba miała rację; dziwne, po nocnym niepokoju z powodu tłęcej się pościeli, po niebezpiecznej chwili, jej szczupła dłoń nie drżała, tylko zwisała bezwładnie z nadgarstka, jakby w ogóle nie należała do niej, nie poddawała się woli, była czymś, za co jej właścicielka nie ponosiła odpowiedzialności, dłoń z delikatnymi liniami papilarnymi, otwarta, wygięta, blada, choć o podrażnionej i zaczerwienionej skórze, dłoń o pięknym kształcie, pusta.

Istniało wiele innych tego rodzaju tajemnic w życiu Gladys, zbyt wiele, aby je wyliczyć. Kontrolowanie ich wymagało nieustannej uwagi i, paradoksalnie, niemal całkowitej obojętności.

– Każdy filozof, od Platona po Johna Deweya, uczył: nie odejdziesz, póki nie wypadnie na ciebie, a kiedy wypadnie na ciebie, odejdziesz.

Gladys strzeliła palcami, uśmiechnęła się. Według niej na tym polegał optymizm.

*Dlatego właśnie jestem fatalistką. Logiki nie da się podważyć!  
I dlatego jestem dobra w sytuacjach krytycznych. Czy też byłam.  
Nie potrafiłam grać jedynie normalnego, codziennego życia.*



**Odważna i bezkompromisowa powieść  
o narodzinach i upadku niezwykle błyskotliwej  
kariery w kinematografii światowej.  
O kobiecie, z której kultura Hollywood  
zrobiła produkt.**

Joyce Carol Oates przedstawia dramatyczne losy Normy Jeane Baker – dziecka, kobiety, nieszczęśliwej celebrytki i idealizowanej blondynki – którą świat poznał jako Marilyn Monroe.

Jej życie było naznaczone dramatami, smutkiem i żalem. Oraz ogromną tęsknotą za szczerym uczuciem. Lgnęła do mężczyzn, szukała miłości na siłę, wchodziła w trudne i szkodliwe związki. Wszystko dalekie było od bajki rodem ze srebrnego ekranu. Była bóstwem dla tłumów, a tak naprawdę nieustannie brakowało jej akceptacji, piękna i miłości.

Intymnym i bogatym głosem Joyce Carol Oates opowiada o kultowej amerykańskiej artystce – skonfliktowanej wewnętrznie i zdeterminowanej – która w pewnej chwili się zagubiła.

Monumentalna epopeja i hołd dla bogini, a także kulisy powstania jednej z największych amerykańskich gwiazd XX wieku.

**KUP TERAZ!**

www.marginesy.com.pl



9 788366 863347

cenę 59,90 zł

PIĘTOKRAT POKRYTY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII



na EKRANIE.PL



FILMWEB

chillizet

w sprzedaży także

